



The Virgin Suicides

PRZEKLEŃSTWA NIEWINNOŚCI

W nowym przekładzie Agi Zano

JEFFREY EUGENIDES



JEFFREY EUGENIDES

The Virgin Suicides

PRZEKLEŃSTWA
NIEWINNOŚCI

W nowym przekładzie Agi Zano



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Virgin Suicides

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawcy: Monika Rossiter, Wojciech Ciuraj

Redakcja: Adrian Kyc / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Florian Rychlik

Zdjęcie na okładce: Joseph Decker, *Ripening Pears* / www.nga.gov

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 1993 by Jeffrey Eugenides

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Aga Zano, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-121-9

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





Rozdział
pierwszy



Tego ranka, gdy ostatnia z córek państwa Lisbonów uznała, że to jej kolej na samobójstwo – tym razem Mary, z użyciem pigułek nasennych, tak samo jak Therese – dwaj ratownicy medyczni po przyjeździe na miejsce wiedzieli już doskonale, gdzie jest szuflada z nożami, gdzie kuchenka gazowa i na której belce pod sufitem w piwnicy da się zawiązać sznur. Wysiedli z karetki, jak zwykle naszym zdaniem poruszając się zbyt wolno.

– Ludzie, to nie telewizja, szybciej się nie da – sapnął ten gruby. W jednej ręce miał respirator, w drugiej defibrylator. Przetaszczył ciężki sprzęt między krzakami, które zdążyły się rozrosnąć do monstrealnych rozmiarów, i przez rozbuchany trawnik. Trzydzieści miesięcy temu, gdy kłopoty się zaczęły, był oswojony i doskonale przycięty.

Pierwsza była trzynastoletnia Cecilia, najmłodsza z siostr. Podcięła sobie nadgarstki w kąpielni niczym stoik, a gdy ją znaleźli, unoszącą się w różowej wodzie, żółtooką, jakby ją coś opętało, i poczuli bijący od drobnego ciała zapach dojrzałej kobiety, ratownicy tak się przerazili jej spokojem, że zamarli z oszołomienia. Wreszcie pani Lisbon rzuciła się ku niej z wrzaskiem i do pomieszczenia na powrót wdarła się

rzeczywistość: krew na macie łazienkowej, ojcowska brzytwa w muszli, marmurkowe smużki w kroplach wody na ceramice. Medycy wyciągnęli Cecilie z ciepłej wody, żeby nie przyspieszała krwawienia, i założyli jej opatrunek na rękę. Mokre włosy lepiły się jej do pleców, kończyny zdążyły już posinieć. Nic nie powiedziała, ale gdy rozplatali jej dłonie, znaleźli przyciśnięty do rozkwitającej piersi załaminowany obrazek z Matką Boską.

Był czerwiec, pora, gdy całe nasze miasto pokrywają grubymi splechcami żylenice. Efemeryczne owady wylaniają się chmurami spośród wodorostów w zanieczyszczonym jeziorze, czernią okna, oblepiają samochody i latarnie, oblażą ściany w porcie miejskim i oplatają takielunki żaglówek jak girlandy, zawsze równie gęstą, wszechobecną burą mazią. Pani Scheer, która mieszka na tej samej ulicy, powiedziała nam, że widziała Cecilie na dzień przed próbą samobójczą. Najmłodsza córka Lisbonów stała przy krawężniku w starej sukience ślubnej z uciętym nad kolanami dołem, którą zawsze nosiła, i patrzyła na Forda Thunderbirda, całego zaszpachlowanego czarnymi muchami.

– Oj, córciu, bez miotły nie dasz rady – powiedziała sąsiadka, lecz Cecilia wbiła w nią spojrzenie medium.

– One już poumierają – odparła. – Żyją ledwo dwadzieścia cztery godziny. Wykluwają się, rozmnażają i do widzenia. Nawet nie jedzą.

Po tych słowach zanurzyła dłoń w pianie insektów i narysowała swoje inicjały: CL.

Próbowaliśmy poukładać fotografie w porządku chronologicznym, choć po tylu latach było to już trudne. Kilka jest

niostrych, lecz mimo to wiele mówią. Ekspонат nr 1 przedstawia dom państwa Lisbonów niedługo przed próbą samobójczą Cecylii. Zdjęcie zrobiła agentka nieruchomości, pani Carmina D'Angelo; pan Lisbon zatrudnił ją do pomocy przy sprzedaży domu, z którego duża rodzina już dawno wyrosła. Widać na nim pochyły dach, jeszcze nie liniejący z dachówek, ganek nadal wylaniający się z nad czubków krzewów i okna, wówczas nieposklejane taśmą maskującą. Przyjemna podmiejska nieruchomość. Okno po prawej na piętrze zawiera smugę, w której pani Lisbon rozpoznała Mary.

– Tapirowała sobie włosy, bo uważała, że są zbyt przyklepane – opowiadała wiele lat później, wspominając, jak córka wyglądała przez ten swój krótki czas na świecie. Obiektyw aparatu uchwycił chwilę, gdy Mary suszy sobie włosy. Wygląda, jakby całą głowę miała w ogniu, ale to tylko złudzenie, gra światła. Był trzynasty czerwca, dwadzieścia osiem stopni, bezchmurne niebo.

Gdy ratownicy mieli już pewność, że opanowali krwawienie do słabego strumyczka, położyli Cecilię na noszach i wynieśli z domu do karetki czekającej na podjeździe. Dziewczynka wyglądała jak miniaturowa Kleopatra w królewskiej lektyce. Widzieliśmy, że jako pierwszy wyszedł ten patykowaty, z wąsem na Wyatta Earpa – gdy już nam się trochę opatrzył po serii domowych tragedii, nadaliśmy mu ksywkę „Szeryf” – a za nim gruby, manewrujący tylną częścią noszy. Szedł ostrożnie przez trawnik i co chwila patrzył sobie na policyjne buty, jakby nie chciał wdepnąć w psią kupę. Dopiero później zaznajomiliśmy się z używanym przez nich sprzętem na tyle,

by wiedzieć, że zerka na ciśnieniomierz. Spoceni i niezdarni, brnęli ku rozedrganej, migającej światłami karetki. Gruby potknął się o samotną bramkę do krokieta. Kopnął ją w akcie zemsty, a ta wyrwała się z podłoża, bryzgnęła ziemią i walnęła z brzękiem o podjazd. Pani Lisbon tymczasem wypadła na ganek, ciągnąc za sobą flanelową koszulę nocną córki, i wydała z siebie przeciągły skowyt, od którego aż zatrzymał się czas. Cztery postaci zamarły pod rozjarzonymi drzewami, na przepalonej trawie: dwóch niewolników kładących ofiarę na ołtarz (do wnętrza karetki), kapłanka wymachująca pochodnią (flanelową koszulą nocną) i wspierająca się na łokciach odurzona dziewczyna, o białych wargach rozchylonych w uśmiechu jakby z innego świata.

Pani Lisbon wsiała na tył karetki, lecz jej mąż pojechał za nimi rodzinnym kombi, nie przekraczając limitu prędkości. Dwie z córek przebywały poza domem: Therese była w Pittsburghu na zjeździe naukowym, a Bonnie na obozie muzycznym, gdzie próbowała uczyć się gry na flecie po tym, jak porzuciła już fortepian (miała za małe ręce), skrzypce (bolał ją podbródek), gitarę (krwawiły jej opuszki palców) i trąbkę (puchła jej górna warga). Słyszając sygnał karetki, Mary i Lux wybiegły z lekcji śpiewu u pana Jessupa, który mieszkał naprzeciwko. Wpadły do zatłoczonej już łazienki; na widok pogańskiej nagości i rozpostartych ramion Cecilii przeżyły taki sam szok jak wcześniej ich rodzice. Odprowadziwszy ratowników na dwór, stanęły objęte przy kępce trawy, którą Butch, barczysty chłopak co sobotę koszący trawnik, tym razem pominął.

Po drugiej stronie ulicy stała furgonetka zarządu zieleni miejskiej, a liczna ekipa zajmowała się kilkoma spośród

naszych dogorywających więzów. Syrena karetki zawyła, odjeżdżając, a główny ogrodnik i pozostali pracownicy opuścili rozpylacze ze środkiem owadobójczym, by odprowadzić ją wzrokiem. Kiedy pojechała, znów zajęli się opryskami. Do stojny więz, również widoczny w tle zdjęcia/ekspozycji nr 1, nie zdołał się obronić przed grafiozą, wywoływaną grzybem roznoszonym przez korniki, i został później ścięty.

Ratownicy zabrali Cecilię do szpitala Bon Secours na skrzyżowaniu Kercheval i Maumee. Na oddziale ratunkowym Cecilia obserwowała próby ocalenia jej życia z upiorną obojętnością. Nie mrugała miodowymi oczami, nie wzdygnęła się, gdy ktoś wetknął jej igłę w przedramię. Doktor Armonson zszuł jej rany na nadgarstkach. Po pięciu minutach od transfuzji oznajmił, że zagrożenie minęło. Wtedy wziął ją delikatnie pod brodę i zapytał:

– Co ty, słonko, wyprawiasz? Jeszcze nawet nie jesteś w takim wieku, żeby wiedzieć, jakie życie bywa podłe.

Wtedy też Cecilia wygłosiła zdanie, które było jej jedynym listem pożegnalnym, zupełnie zresztą bezużytecznym, bo miała przecież dalej żyć:

– No tak, pan nigdy nie był trzynastolatką.

Dziewczyny od Lisbonów miały wówczas lat trzynaście (Cecilia), czternaście (Lux), piętnaście (Bonnie), szesnaście (Mary) i siedemnaście (Therese). Były niewysokie, o pełnych pośladkach, zwłaszcza w dzinsach, i krągłych policzkach, delikatnych jak delfini grzbiet. Kiedy tylko udawało nam się je dostrzec, mieliśmy wrażenie, że są nieprzyzwoicie odosłonięte, jakbyśmy byli przyzwyczajeni do widywania kobiet

wyłącznie z zakrytą twarzą. Nikt nie pojmował, jakim cudem państwo Lisbonowie zdołali wydać na świat tak piękne córki. Pan Lisbon uczył matematyki w liceum. Był szczupły, o chłopięcej urodzie, jakby sam zaskoczony własną siwizną. Miał wysoki włos, a kiedy Joe Larson opowiadał nam, jak się rozpląkał, gdy po swojej próbie trafiła do szpitala Lux, bez trudu wyobraziliśmy sobie jego dziewczynski szloch.

Zawsze, kiedy widzieliśmy panią Lisbon, szukaliśmy na próżno śladów urody, którą musiała przecież kiedyś mieć. A jednak pulchne ramiona, bezceremonialnie przycięte włosy, przypominające kłęb stalowej wełny, i okulary bibliotekarki niezawodnie zbijały nas z tropu. Rzadko jednak na nią trafialiśmy, głównie o poranku, w pełni ubraną, choć nie weszło jeszcze słońce, jak wychodziła przed dom, żeby zabrać zroszone przez noc kartoniki z mlekiem, albo w niedzielę, gdy cała rodzina jechała pojemnym kombi do kościoła katolickiego pod wezwaniem świętego Pawła. W te poranki pani Lisbon roztaczała wokół siebie aurę po królewsku lodowatą. Ściskając w dłoniach wyjściową torebkę, oglądała uważnie każdą córkę po kolei, szukając choćby cienia makijażu, i dopiero wtedy wpuszczała je do samochodu. Nierzadko zdarzało się jej odsyłać Lux z powrotem do domu, żeby przebrała się w mniej wyzywającą bluzkę. Nikt z nas do kościoła nie chodził, więc mieliśmy mnóstwo czasu, by ich podglądać: dwoje wyblakłych rodziców, pozbawionych kolorów niczym negatyw fotografii, i pięć rozmigotanych córek w ręcznie szytych sukienkach, całych w falbankach i koronkach, rozpieranych przez dojrzewające ciała.

Tylko jednego chłopaka wpuścili kiedykolwiek do domu. Peter Sissen pomógł panu Lisbonowi zainstalować w klasie działający model Układu Słonecznego, w zamian za co dostał zaproszenie na obiad u nauczyciela. Opowiadał nam później, że dziewczyny przez cały czas kopały go pod stołem ze wszystkich stron, tak że nie potrafił stwierdzić, która kiedy to robi. Przyglądały mu się przy tym rozgorączkowanymi błękitnymi oczyma i uśmiechały się, odślaniając ściśnięte ciasno zęby – to była jedyna cecha ich wyglądu, do której moglibyśmy się w ogóle przyczepić. Tylko Bonnie nie posyłała Peterowi Sissenowi dyskretnych spojrzeń ani kopniaków. Zmówiła modlitwę dziękczynną i jadła w milczeniu, z pobożną powagą, na jaką zdobyć się może tylko piętnastolatka. Po posiłku Peter zapytał, czy może skorzystać z toalety, a jako że Therese i Mary zamknęły się w tej dolnej, szepcząc i chichocząc, musiał skorzystać z łazienki dziewczyn na piętrze. Wrócił do nas z opowieściami o pokojach pełnych zmiętych majtek, pluszaków wyściskanych na śmierć w dziewczęcych emocjach, o biustonoszu zwisającym z krzyża, o tiulowym zacisku łóżek z baldachimem i o dusznych oparach wydzielanych przez dojrzewające ciała, upchnięte razem w ciasnej przestrzeni. Po wejściu do łazienki puścił wodę z kranu, by zagłuszyć swoje myszkowanie, i natrafił na sekretny zapas kosmetyków Mary Lisbon, ukryty w skarpetce podwiązanej pod umywalkę: tubki z czerwoną szminką, druga skóra różu i podkładu, воск do depilacji, który zdradził nam, że ma wąsik, choć nigdy go nie dostrzegliśmy. Nie wiedzieliśmy nawet, czyj makijaż znalazł właściwie Peter Sissen, póki dwa tygodnie później

nie zobaczyliśmy Mary Lisbon na moło z umalowanymi wargami, których czerwień pasowała do koloru opisanego przez naszego kolegę.

Przeprowadził kompletną inwentaryzację dezodorantów, perfum i gąbek do szorowania martwego naskórka. Zaskoczył nas informacją, że nigdzie nie zastał sprzętu do lewatywy, bo sądziliśmy, że dziewczyny płuczą sobie wszystko od środka co wieczór, że to dla nich standardowa procedura, jak mycie zębów. Szybko jednak zapomnieliśmy o rozczarowaniu, bo Sissen odkrył coś wykraczającego poza nasze najśmielsze fantazje. W koszu na śmieci leżał tampon, zaplamiony i jeszcze świeży od kontaktu z wnętrzem jednej z sióstr Lisbon. Sissen mówił, że chciał go dla nas zabrać, że to nie było ani trochę obrzydliwe, tylko piękne, jak malarstwo nowoczesne czy coś, i dodał, że naliczył w szafce dwanaście opakowań tampaxów. Wtedy jednak Lux zastukała do drzwi, pytając, czy umarł tam w środku, więc zerwał się, żeby jej otworzyć. Włosy, do obiadu zebrane spinką, spływały jej teraz na ramiona. Nie weszła do środka, tylko spojrzała mu prosto w oczy. Wreszcie zaśmiała się po swojemu, jak hiena, i przepchnęła się koło niego w drzwiach.

– Zrobiłeś już, co miałeś zrobić? Potrzebuję czegoś.

Podeszła do szafki, zatrzymała się i zaplotła ręce na plecach.

– Przydałoby mi się trochę prywatności. Mógłbyś?

Słyszac to, Peter Sissen, cały czerwony, zbiegł po schodach, podziękował gospodarzom za obiad i pognął nam powiedzieć, że Lux Lisbon w tej właśnie chwili krwawi między nogami, podczas gdy pod utyłanym chmarami żylenic niebem zapalały się uliczne latarnie.

Wysłuchawszy opowieści Petera Sissena, Paul Baldino przy-
siągnął, że też dostanie się do domu Lisbonów i wypatrzy tam
rzeczy jeszcze bardziej skandaliczne.

– Będę podglądał, jak każda bierze prysznic – zapowiedział.

Już wtedy, w wieku lat czternastu, Paul Baldino miał
gangsterskie instynkty i zbójceją facjatę ojca, Sammy’ego
„Rekina” Baldino, oraz wszystkich mężczyzn przewijających
się przez ich wielki dom, którego schodów przed wejściem
strzegły dwa kamienne lwy. Poruszał się z ospałą pewnością
siebie miejskich drapieźników, którzy skrapiają się wodą
kolońską i chodzą na manicure. Przerazał nas, podobnie
jak jego zwalisci, ciastowaci kuzyni, Rico Manollo i Vince
Fusilli, nie tylko dlatego, że jego dom pojawiał się co ja-
kiś czas w gazecie, czy dlatego, że po kolistym podjeździe,
wysadzonym drzewkami laurowymi sprowadzanymi prosto
z Włoch, sunęły regularnie kuloodporne czarne limuzyny.
My baliśmy się przede wszystkim jego głębokich cieni pod
oczami, mamucich bioder i wypucowanych na błysk czar-
nych lakierków, które nosił nawet do gry w bejsbola. Zda-
rzało mu się już dawniej przemykać w inne zakazane miejsca
i choć opowieści, jakie przynosił z rekonesansu, nie zawsze
były wiarygodne, to i tak robił na nas wrażenie odwagą.
Kiedy mieliśmy dwanaście lat, dziewczyny poszły na aulę
oglądać jakiś specjalny film tylko dla nich. To właśnie Paul
Baldino znalazł drogę do środka i schował się w starej bud-
ce do głosowania, żeby nam powiedzieć, o czym był film.
Myśmy czekali na placu zabaw, kopiąc żwir, a gdy kumpel
wreszcie się pojawił, żując wykałaczkę i kręcąc złotym syg-
netem, aż nas zatkało z przejęcia.

– Widziałem ten film – oznajmił. – Wszystko wiem. Słuchajcie tego. Jak dziewczyny mają dwanaście lat albo coś koło tego... – tu nachylił się do nas – ...krew im leci z cycków.

Teraz wprawdzie nie byliśmy już tak naiwni, lecz Paul Baldino nadal budził w nas respekt i strach. Biodra miał jeszcze szersze, jak nosorożec, a jego cienie pod oczami zdążyły nabrać barwy resztek z popielniczki zmieszanych z błotem, przez co wyglądał na kogoś, kto napatrzył się już na śmierć. Mniej więcej wtedy też zaczęły się plotki o podziemnym tunelu. Kilka lat wcześniej za ostro zakończonym ogrodzeniem posiadłości Baldinów, patrolowanym przez dwa identyczne białe wilczury, pojawiła się pewnego ranka grupka budowlańców. Rozwiesili na drabinach zasłony z plandeki, a po trzech dniach, gdy je zdjęli, okazało się, że na środku trawnika wyrósł sztuczny pień drzewa. Był zrobiony z cementu, pomalowany we wzór udający korę, miał nawet zamarkowany sęk i dwie urżnięte gałęzie, wyciągnięte w niebo jak amputowane kończyny. Pośrodku drzewa znajdowało się wycięte wgłębienie z metalową kratką.

Paul Baldino twierdził, że to grill, a myśmy mu uwierzyli. Tylko że czas leciał, a grilla nikt nigdy nie używał. W gazetach pisali, że kosztował pięćdziesiąt kafli, lecz mimo to nie wylądował na nim ani jeden kotlet czy kielbaska. Wkrótce więc zaczęła krążyć plotka, że sztuczny pieńek to tak naprawdę wejście do tunelu prowadzącego do kryjówki nad rzeką, gdzie Sammy „Rekin” Baldino trzymał motorówkę, a budowlańcy rozwiesili wtedy plandeki, żeby nie było widać, jak kopią. Parę miesięcy później Paul Baldino zaczął się pojawiać ludziom w piwnicach, jakby wlaził przez kanalizację

burzową. Wylazł tak w domu Chase'a Buella, cały w szarym kurzu, śmierdzącym jak kupa; przecisnął się do piwnicy Danny'ego Zinna, tym razem z latarką, kijem bejsbolowym i workiem z dwoma martwymi szczurami; wreszcie znalazł się po drugiej stronie bojlera Toma Faheema i walnął trzy razy w obudowę.

Za każdym razem tłumaczył nam, że łąził po burzowcu pod własnym domem, ale się zgubił, lecz my zaczęliśmy już podejrzewać, że bawi się w tunelu, który jego stary wykopał sobie do ucieczki. Gdy zapowiedział, że podejrzy dziewczyny od Lisbonów, jak biorą prysznic, wszyscy sądziliśmy, że wejdzie im do domu tak samo, jak nam. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co dokładnie zaszło, choć policja przesłuchiwała go przez ponad godzinę. Powiedział im tylko to, co nam. Że włął do studzienki burzowca pod własnym domem i szedł po kilka kroków. Opisał zaskakująco wielkie rury, kubeczki po kawie i pety zostawione przez robotników i nabazgrane węglem na ścianach gołe baby, przypominające malowidła w jaskiniach. Wyjaśnił, że wybierał tunele na chybił trafił i że gdy przechodził pod domami, czuł, co ludzie gotują sobie na obiad. Wreszcie wylazł przez kratkę w piwnicy Lisbonów. Trochę się otrząpał i poszedł rozejrzeć się za kimś z domowników na parterze, ale nikogo nie było w domu. Wołał raz po raz, snując się po pokojach. Wspiął się na piętro. Z korytarza usłyszał szum płynącej wody. Upie-rał się, że zapukał. A następnie opisał, jak wszedł do środka i zastał w wannie Cecilie, nagą, krwawiącą z nadgarstków, i przewyciężywszy pierwszy wstrząs, od razu pognał na parter, żeby zadzwonić na policję, bo tak go zawsze uczył ojciec.

Ratownicy oczywiście najpierw znaleźli zalaminowany obrazek, a ten gruby w emocjach schował go do kieszeni. Dopiero w szpitalu pomyślał, żeby go oddać rodzicom. Cecylii nie groziło już wtedy niebezpieczeństwo, a matka i ojciec siedzieli w poczekalni, spokojniejsi, lecz nadal zupełnie skołowani. Pan Lisbon podziękował ratownikowi za ocalenie życia ich córki. Dopiero po chwili zobaczył wydrukowaną na odwrocie wiadomość:

*Maryja Zawsze Dziewica zaczęła pojawiać się
w naszym mieście, niosąc chwiejącemu się w posiadach
światu wieść pokoju. Tak jak w Lourdes i Fatimie
Matka Boska obdarza swą obecnością osoby takie jak
ty. Aby dowiedzieć się więcej, zadzwoń pod numer
555-MARIA*

Pan Lisbon przeczytał to trzy razy. Wreszcie, zrezygnowany, przemówił:

– Ochrzciliśmy ją, posłaliśmy do sakramentów, to teraz wierzy w te bzdury.

Było to jego jedyne bluźnierstwo podczas całej tej tragicznej historii. Pani Lisbon nic nie powiedziała, tylko zgniotła obrazek w dłoni (nie zniszczył się; mamy fotokopię).

Nasza miejscowa gazeta nie puściła artykułu o próbie samobójczej, bo naczelny, pan Baubee, uznał, że tak przykra informacja nie będzie pasować do wydania między artykułem na temat pokazu florystycznego sąsiedzkiej grupy kobiecej na stronie tytułowej a fotografiami uśmiechniętych panien młodych na ostatniej. Jedyнным wartym uwagi artykułem

w wydaniu z tamtego dnia była notatka na temat strajku grabarzy (przepełnione kostnice, żadnych szans na rozwiązanie), a nawet to trafiło na czwartą stronę, gdzieś pod tabelkę z wynikami małej ligi bejsbola.

Po powrocie do domu państwo Lisbonowie zamknęli się z córkami w domu i ani słowem nie wspomnieli o tym, co się wydarzyło. Dopiero po naciskach pani Scheer matka Cecilii powiedziała coś o „wypadku”, zachowując się przy tym tak, jakby dziewczynka niefortunnie upadła i się skaleczyła. Paul Baldino, choć zdruzony już tematem krwi, opisał nam wszystko, co widział, obiektywnie i z precyzją, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że Cecilia dopuściła się aktu przemocy sama na sobie.

Pani Buck dziwiła się, że brzytwą wylądowała w toalecie.

– Jeśli podcięła sobie żyły w wannie, to chyba odłożyłaby ją gdzieś na krawędź? – zastanawiała się.

To podsunęło pytanie, czy Cecilia pocięła się już w wannie, czy stojąc na macie łazienkowej, która też była zaplamiona krwią. Paul Baldino nie miał wątpliwości.

– Zrobiła to na kłocie. Dopiero potem weszła do wanny. Mówię wam, normalnie cała łazienka zasyfiona.

Cecilię przez tydzień trzymano na obserwacji. Lekarze zapisali w jej karcie, że tętnica w prawym nadgarstku została całkowicie przerwana, bo dziewczynka była leworęczna, ale w lewym rana okazała się płytsza i przecięła żyłę tylko do połowy. Założono jej po dwadzieścia cztery szwy na każdą rękę.

Po powrocie nadal miała na sobie skróconą sukienkę ślubną. Pani Patz, której siostra była pielęgniarką w Bon Secours, opowiadała, że Cecilia odmówiła przebrania się w szpitalną

koszulę i domagała się, by rodzice przywieźli jej sukienkę. Doktor Hornicker, psychiatra oddziałowy, uznał, że najlepiej będzie spełnić tę prośbę. Do domu wróciła podczas burzy. Siedzieliśmy u Joego Larsona, dokładnie po drugiej stronie ulicy, kiedy pierwszy raz zagrzmiało. Mama Joego krzyknęła z dołu, że mamy pozamykać okna, więc podbiegliśmy do najbliższego. Na zewnątrz powietrze zamarło, jakby zassane w próżnię. Papierowa torebka drgnęła na wietrze, uniosła się i pokoziołkowała nad ziemią w nisko zwieszony gałęzie drzew. Próżnię ostatecznie przerwała ulewa, niebo pociemniało i właśnie wtedy kombi Lisbonów spróbowało przemknąć się pod osłoną nocy.

Zawołaliśmy mamę Joego, żeby przyszła popatrzeć. Nie minęło kilka sekund, a na wyłożonych dywanem schodach rozległ się pospieszny tupot i już stała z nami. Był wtorek, pachniała środkiem do mebli. Patrzyliśmy razem, jak pani Lisbon jedną nogą odpycha drzwi auta i wychodzi, trzymając nad głową torebkę, żeby nie zmokły jej włosy. Zgarbiona i z grymasem na twarzy otworzyła tylne drzwi. Padało bez litości. Włosy opadały jej na twarz. Wreszcie z auta wyłoniła się drobna główka Cecylii, niewyraźna w strugach deszczu. Poruszała się nienaturalnie, zrywami, bo przeszkadzały jej unieruchomione na temblakach ręce. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zebrać siły i stanąć na nogi. Gramoląc się wreszcie z auta, uniosła oba temblaki jak skrzydła, a pani Lisbon wzięła ją pod lewy łokieć i zaprowadziła do domu. Do tego czasu ulewa zdążyła się już rozpętać na całego i nie dało się dostrzec nawet domu po drugiej stronie ulicy.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova